

„Przepowiednia o Wyzwoleniu Czarodziejów”

Płowy gołąb sfrunął na kamienną głowę bogini Ceres, która nie robiła sobie z tego większego problemu. Pod jej stopami, pośród rzeźbionych postaci mężczyzn i kobiet, z dysz płynęła krystaliczna woda, która swym pluskiem akompaniowała cichym szelestom liści z okalających plac drzew. Miasto ogarniał spokój. Mimo pozornego zgiełku i zabiegania, lipcowe słońce wpędzało ludzi w harmonijny nastrój i radość. Problemy zdawały się odchodzić na drugi plan, a czas płynął jakby wolniej, pozwalając nacieszyć się każdą chwilą upojnej pogody.

Czwórka przyjaciół siedziała na swojej ulubionej ławce na Placu Daszyńskiego. Było to jedno z ich ulubionych miejsc na rozmowy tudzież zwykłe spotkania. Przy owej ławce, tuż przy nogach chłopców, krążył na krótkich nóżkach gołąb, świdrując ich swymi czerwonymi oczami.

- Nienawidzę ptaków. - zaczął Gabriel wzdrygając się na widok stworzenia. - Są brudne i nieprzewidywalne. Właściwie, to wszystkie zwierzęta takie są. Gapią się na ciebie i czekają, aż im sypniesz jakimś żarciem. Żebrzą, chociaż nic nie mówią, to chyba ich zaleta... W każdym razie, nie można im ufać. Dasz im palec, to odgryzą ci całą rękę, nie dasz nic, to wydziobią ci oczy. - Mówiąc to, przybliżył głowę do zwierzęcia i zmrużył oczy czując jednocześnie pogardę i strach. Nagle, ptak poderwał się do lotu, a blondyn odskoczył jak poparzony, zarzucając swymi złotymi lokami. Jego przerażona mina spotkała się ze śmiechem przyjaciół, on sam zaś po chwili uśmiechnął się do minionej sytuacji.

Tobiasz wyłożył się na drewnianym oparciu ławki, zwrócił twarz do słońca i wziął głęboki wdech. Światło otulało ciepłem jego wiecznie opaloną twarz. Odpoczywał. Stanowisko przywódcy grupy, a w szczególności tej grupy, pod koniec tygodnia przynosiło zmęczenie w kościach i na duszy. Czerpał więc z każdej możliwej chwili jak najwięcej wytchnienia, ale życie nauczyło go, że nie jest mu dana duża jego ilość i kolejny raz miał się o tym przekonać.

Placem przechodził policjant. Funkcjonariusz prawa do spraw porządku w mieście z celem niwelowania każdego odstępstwa od przepisów. Wydawać by się mogło, że jest zbyt otyły, jak na jego stanowisko, poruszał się bowiem chwiejnie jak pingwin i równie wolno, co żółw. Sznurówka w jego lewym bucie była rozwiązana, a on nie sprawiał wrażenia zdolnego, by samodzielnie ją sobie zawiązać.

Beniamin – najmłodszy z całej grupy, bardzo szybko znudził się beczynnym siedzeniem. Od zawsze był fanatykiem zabawy i adrenaliny; w każdej sytuacji potrafił je znaleźć. Również w tej. Szturchnął łokciem siedzącego obok Gabriela i ukradkiem wskazał na przechodzącego mężczyznę. Zrozumieli się bez słów. Złotowłosa wyciągnął dłoń w stronę lewego buta przysadzistego policjanta. Pstryknął palcami, a sznurówki zajęły się ogniem.

Gliniarz spostrzegł to dopiero przy następnym kroku, gdy patrząc w ziemię jego stopa wyłoniła się spod osłony okrągłego brzucha. Przeżony zaczął skakać nieporadnie, próbując ugasić sznurówkę. Wyglądał przy tym komicznie, a dwaj chłopcy nie omieszkali się na ten widok śmiać do rozpuku. Gdy udało mu się w końcu je ugasić, dostrzegł sprawców i ruszył truchtem w ich stronę, czerwony jak burak. Gabriel i Beniamin poderwali się z miejsc ocierając łzy od śmiechu i pociągnęli ze sobą pozostałych przyjaciół ruszając do ucieczki. Tobiasz nie był zadowolony, że został wyrwany z odpoczynku, jednak jeszcze bardziej się rozłościł, gdy zobaczył co się stało.

Puścili się biegiem, nie tyle z obawy przed schwytaniem przez policjanta-wieloryba, lecz przez potencjalne wsparcie. Nie była to dla nich nowość, bowiem ucieczka z opałów była ich głównym zajęciem.

Okrzykli łukiem fontannę i przemknęli zwarciem przez szare płyty przy niskim płotku odgradzającym ścieżkę od zieleni i kwiatów. Zwykli ludzie nie zwrócili na nich większej uwagi (w dwudziestym pierwszym wieku, ciężko odróżnić zdrowy jogging od wymykania się z rąk władz). Zbliżali się już do pasów. Nie obawiali się nadjeżdżających samochodów, bowiem Jeremiasz – wysoki brunet o bursztynowych oczach i cichym przysposobieniu, miał kompletny wgląd w myśli wszystkich dookoła i w razie ewentualnego zagrożenia, ostrzegłby przyjaciół. Jego milczenie oznaczało wolną drogę.

- Trzymajcie się mnie mocno! – krzyknął Beniamin. Na ten znak, objęły go trzy dłonie. Chłopiec z twarzą usłaną konstelacjami piegów, uśmiechnął się i zamknął gwałtownie oczy, a cała paczka rozplynęła się w powietrzu na rogu Kościuszki i Kołłątaja, jakby ich nigdy tam nie było.

Pojawili się w ciemnym pokoju rozbijając się na mahoniowej podłodze jak bilardowe kule.

Niektórych (głównie Beniamina) podróż poprzez teleportację przyprawiała o zastrzyk adrenaliny. Głównie on był inicjatorem tarapatów, w które pakowali się chłopcy, ale młody, rudowłosy czarodziej widział w tym wyłącznie zabawę i rozrywkę. Często sprawiał wrażenie, jakby nie przewidywał skutków swoich czynów, a życie opierało się na ciągłym ryzyku.

- Widzieliście jego minę? – rzucił Beniamin – myślałem, że padnę ze śmiechu! Przydało mu się trochę tego ruchu, jeszcze chwila, a wytresujemy go na sprawnego fizyczne psa.

- Czy wy w ogóle myślicie? – ryknął Tobiasz otrzepując się z kurzu – A gdyby było tam więcej policji? A gdyby naprawdę zobaczyli wasze moce? A gdybyś podpalił go całego? – zwrócił się w stronę Gabriela, powoli się uspokajając – Dobrze wiesz, że nie panujesz jeszcze nad mocą. Już widzę te nagłówki w Nowej Trybunie Opolskiej: „Zorganizowana grupa czarodziejów podpala

policjanta. Śledztwo rozpoczęte.” Im mniej się pokazujemy, tym lepiej.

- Ale sam mówiłeś, że trzeba z nimi walczyć. – bronił się blondyn.

- Tak, ale nie w ten sposób. Należy nam się wolność, a została nam odebrana przez ludzi już dawno temu. – mówiąc to westchnął i opadł na starym krześle. – Opole było naszym miastem. Rdzennym miastem czarodziejów i czarownic. Ludzie wszystko zniszczyli. Opanowali nasz teren, postawili wysoki mur, by nikt nie mógł uciec, a każdego czarodzieja zamykano wyłącznie za to, kim jest... i nadal to robią.

- Potem jeszcze wprowadzili egzekucje – odezwał się cicho i bez emocji Jeremiasz, który siedział na podłodze obejmując kolana.

- A pamiętacie jak próbowali topić czarodziejów i czarownice? To dopiero był ubaw! Najlepsze było jak wychodzili nocami z Odry! Każdy głupi przecież wie, że nas nie da się utopić, jesteśmy na to odporni. – powiedział Beniamin z energią i entuzjazmem, przełamując smutny nastrój rozmowy.

- Tak, w końcu ich olśniło. Teraz stosują kulkę w łeb i robią z tego widowisko. – Tobiasz zmrużył swoje duże oczy w kolorze ziemi i skupił wzrok na opasłej księdze, leżącej na jednej z półek. Książka oprawiona w starą, zniszczoną skórę wysunęła się z regału i przyfrunęła prosto do rąk szatyna. Opuszkami palców przejechał po szorstkim grzbiecie, a następnie ostrożnie otworzył ją na zaznaczonej stronie, uważając na wypadające, pożółkłe strony.

Księga była opisem historii Opola, spisany przez czarodziejów całe pokolenia temu i była przekazywana z ojca na syna w rodzinie Tobiasza. Ważna w niej była jedna strona, na której spisano „Przepowiednię o Wyzwoleniu Czarodziejów”. Chłopcy czytali ją tysiące razy, lecz nigdy nie mogli jej rozgryźć. Jak to każda przepowiednia, owiana była tajemnicą, która winna rozwiązać się dopiero w odpowiednim czasie.

Następnego ranka, po kolejnych burzliwych rozmyślaniach o Przepowiedni, udali się na spacer. Beniamin jak zawsze był pełen energii, a jego rdzawą czuprynę widać było wszędzie. Przed wyjściem z domu teleportował się po wszystkich pokojach i nie mógł usiedzieć, ciesząc się nowym, słonecznym dniem. Zachowywał się jak przedszkolak, choć już z początkiem roku skończył siedemnaście lat. Gabriel całą drogę narzekał. Narzekanie było jego ulubionym zajęciem, co przekładało się na miliony wypowiedzianych na minutę słów. Lamentował nad zbyt mocnym słońcem, nad tym, że jego srebrny lakier odprysł na serdecznym palcu i nad wszechobecnym ptactwem. Tobiasz gorączkowo rozmyślał nad Przepowiednią i sposobem

zdobycia wolności dla całego swojego gatunku. Jeremiasz z kolei był w najgorszej sytuacji – słyszał dokładnie myśli całej trójki.

Znaleźli się nad Stawką Barlickiego. Wiele rodzin i małych brzdąców pluskających się w czystej wodzie zachwycało się pokazem tańczących strumieni fontann. Na dnie zbiornika mieniły się kolorowe kamyki w świetle przedpołudniowego słońca. Rozłożyli błękitny kocyk w półcieniu wielkiego dębu i rozkoszowali się wakacyjną porą.

Gabriel i Jeremiasz podwinęli nogawki krótkich jeansów i weszli dla ochłody do wody, stając w płytszych rejonach dna. Brunet oparł się o jeden z głazów okalający małą wysepkę, a blondyn wyruszył na poszukiwanie najpiękniejszego z kamyków. Raz po raz zanurzał rękę sięgając dna, a gdy wyjął niesatysfakcjonujący go okaz, wyrzucał go za siebie. W końcu, niebieskooki znalazł odpowiedni, przypominający wyglądem kryształ. Podeszedł brodząc w wodzie do chłopaka ubranego od stop do głów w czern i pokazał znalezisko.

- Zobacz jaki piękny. Wygląda na zwyczajnie brązowy, ale gdy patrzysz pod słońce, staje się złoto-pomarańczowy ... jak twoje oczy. – spojrzeli po sobie. – Chciałbym ci go dać. – powiedział blondyn nieśmiało.

- Dziękuję. – Wyszeptał Jeremiasz i odbierając kamyk, złożył krótki pocałunek na policzku chłopaka. Gabriel spłonął rumieńcem aż po same uszy i spuścił wzrok ukrywając uśmiech. Złapali się delikatnie za ręce, a wyższy z nich z namaszczeniem wysłuchiwał dźwięcznych myśli drugiego.

Nagle, przerywając całą romantyczną sytuację, rozległo się donośne wołanie Tobiasza. Chłopcy odskoczyli od siebie wyrwani z uścisku i od razu spostrzegli, co się dzieje. Cała wysepka znajdująca się za nimi płonęła. Źrenice Gabriela rozszerzyły się gwałtownie. Wiedział, że ogień, który okalał drzewa i świeżą trawę powstał z jego winy, bowiem natłok emocji w jego umyśle wywołał niekontrolowany wybuch mocy. Stał jak wryty, nie mogąc temu w żaden sposób zaradzić.

Tobiasz wskoczył do wody, nie zastanawiając się co ma dalej poczuć. Rozejrzał się gwałtownie. Ludzie naokoło się podburzyli, zaczęli wstawać i wychodzić z wody, ktoś odbiegł, a reszta patrzyła i wskazywała palcami.

Nieoczekiwanie, woda w zbiorniku zafalowała. Powierzchnia poryła się zmarszczkami, jak gdyby rozległa się wichura. W jednym miejscu, powoli, tuż przy chłopcach, ciecz zaczęła unosić się, tworząc nierównomierny słup. Wyglądało to, jakby została wyłączona grawitacja. Sprawiający wrażenie myślącego, wodny komin powiększał się i pogrubiał, zmierzając w stronę ognistej pożogi. W jednym momencie, jak morska fala zalał wysepkę, skutecznie gasząc pożar. Każdy ze zgromadzonych, patrzył na wodne przedstawienie z jeszcze większym

zaciekawieniem, niż na ogień, który trawił przed chwilą roślinność.

Chłopak o wiecznie opalanej skórze spojrzał na brzeg. Stała na nim dziewczyna, o krótkich, kręconych włosach koloru butelkowej zieleni i oczach zimnych i szarych niczym stal. Patrzyła na niego z uśmiechem i wyciągnęła rękę, by pomóc mu wyjść. Tobiasz wyciągnął rękę i wylał ze stawu cały ociekając wodą. Dziewczyna zachowywała się inaczej niż inni. Wszystko, co wydarzyło się przed chwilą, zdawało się być dla niej codziennością. Krople wody w jej włosach lśniły podobnie jak jej oczy wpatrzone w oczy Tobiasza. Przez chwilę zachowywali się jak w niemym filmie, podczas sceny zakochania od pierwszego wejrzenia. Istotnie, taka scena miała miejsce w ich sercach.

- Jestem Aurora. – rozbrzmiał jej melodyjny głos, gdy wyswobadzała się ze sztywnego uścisku dłoni trwającego znacznie za długo.

- Ja jestem Tobiasz.

- To twoja sprawka? – wskazała dłonią na wysepkę.

- Nie, szczerze mówiąc, nie wiem co się właśnie stało, ta fala wody pojawiła się znikąd.

- Miałam na myśli ogień. Woda to moja dziedzina. – odparła z uśmiechem.

- To ty to zrobiłaś? To było niesamowite!

Do pary dołączyła reszta paczki i każdy po kolei przedstawił się.

Ich pierwsza rozmowa nie trwała długo. Po schodach zbiegł mężczyzna wskazując na nich palcem, a za nim zbiegła grupa policjantów, która ruszyła biegiem w ich stronę.

- Wiejemy! - rzucił Tobiasz na ten widok i ruszyli do ucieczki. Biegli co sił w nogach, a funkcjonariusze deptali im po piętach. Przebieli przez pasy na ulicy Piastowskiej, cudem unikając potrącenia przez autobus. Wskoczyli gęsiego na Żółty Mostek. Aurora wyciągnęła dłoń w kierunku Odry, a z niej wyskoczył wodny bicz, który powalił ścigających ich mężczyzn na ziemię. Skręcili w prawo, a Benjamin dał sygnał, by każdy go dotknął.

Pojawili się w pokoju, w domu Tobiasza. Podobnie jak ostatnim razem, było w nim ciemno i duszno, a w powietrzu unosił się zapach papieru, drewna i kawy. Na stołach i regałach walały się otwarte książki z zaznaczonymi istotnymi fragmentami. Notatki i zapiski porzucane były w kompletnym nieładzie.

Aurora była zachwycona faktem teleportacji. Dowiedziała się jakimi mocami panują jej nowi znajomi. Mimo tego, że знаła ich zaledwie chwilę, a przez ten moment zdążyli już sobie nawzajem uratować skórę, czuła z nimi silną, przyjacielską więź. Do jednego z ich, na którego częstokroć zerknęła ukradkiem, czuła coś znacznie więcej.

Jej uwagę przykuła opasła, stara księga, otwarta na stronie zatytułowanej „Przepowiednia o Wyzwoleniu Czarodziejów”

- Co to jest? – spytała muskając delikatnie stronicę.
- Nie znasz Przepowiedni? – spytał Tobiasz. Widząc jej minę wyrażającą przeczącą odpowiedź, pospieszył z wyjaśnieniami. – Przepowiednia została spisana dawno temu. Tłumaczy, w jaki sposób nasz gatunek odzyska wolność spod ludzkiego panowania. – odchrząknął i przeczytał na głos:

*„Komety tej kurs dwie dekady trwa,
Uczucie, które ją stworzyło, zniszczy ją w mig,
Ciała tego moc ogromna,
Jak starej księgi potęga,
Gdzie prolog przestroga,
A epilog niechybną zgubą jest.”*

Po jego recytacji w pomieszczeniu zapadła cisza. Każdy próbował usilnie odszukać ukrytego sensu i metafor zaklętych w sześciu wersach. Na próżno.

Do późnego wieczora grupa przyjaciół rozprawiała o codziennych problemach, o ulubionych zajęciach i książkach. Czas przy dobrej zabawie płynął szybko. Aurora stwierdziła, że musi się już zbierać. Tobiasz odprowadził ją na dół, a przed drzwiami zatrzymali się na krótką, bardziej prywatną rozmowę.

- Kiedy masz urodziny? – spytała znajdując się blisko niego.
- Jedenastego maja. A ty? – Dziewczyna o szarych oczach uniosła kącki ust.
- Jutro, właściwie, to za dwie godziny. To już dwudzieste. – Szatyn pospiesznie spojrzął na zegarek. Jutro, przypadał dziesiąty dzień lipca.
- W takim razie, wszystkiego najlepszego.
- Może chciałbyś jutro mi zaśpiewać? Moglibyśmy pójść na lody, albo coś...
- Tak! To znaczy... z przyjemnością.
- Co powiesz na dwunastą, pod budynkiem uniwersytetu?
- Będę nawet wcześniej. – Zapewnił ją ze szczerym uśmiechem. Przytulili się nieporadnie, a gdy odchodziła, odprowadził ją wzrokiem.

Tobiasz wrócił cały w skowronkach do pokoju. Jednak, gdy otworzył drzwi, spotkał się z kamiennymi twarzami przyjaciół. Ich szczera i bijąca jak grom powaga ściągnęła chłopaka na ziemię.

- Rozwiązałem Przepowiednię. – powiedział Jeremiasz.

Zielone włosy powiewały jej na wietrze, w pochmurny, parny, urodzinowy dzień. Ubrała bordową, zwiewną sukienkę, ale coś nie dawało jej spokoju. Tobiasz, z którym umówiła się zeszłego wieczoru, spóźnił się już trzydziestą minutę. Wiele razy przeszło jej przez myśl, że najzwyczajniej ją wystawił, ale nie chciała wierzyć w taki scenariusz.

Zauważyła, że miasto jakby opustoszało. Grupka ludzi szła w stronę jednej uliczki, z której końca dobiegał hałas i zgiełk. Postanowiła to sprawdzić. Udała się w dół po brukowanym chodniku przy wysokim, betonowym murze. Z każdym krokiem przyspieszała, czując niepokój w sercu. Im dalej się znajdowała, tym więcej ludzi widziała, którzy kłębili się przy jakimś wydarzeniu. Pod „babą na byku” spostrzegła zwartą ścianę gapiów. Przedzierała się odpychając każdą osobę z tłumu. Czuła mieszające się zapachy perfum każdej z osób o które się otarła, a jej serce waliło jak młotem. Nagle znalazła się w pierwszym rzędzie. Pod piętnastometrowym pomnikiem ustawiony był sznur policji, a przed nimi klęczał zakuty w kajdany mężczyzna. Nie była do końca pewna, bądź chciała nie być, dopóki nie podniósł głowy. Był to Tobiasz.

Zamarła, zamurowało ją, nie potrafiła wydobyć tchu. Złapali go.

W pewnym momencie, główny policjant wystąpił przed szereg i donośnym, basowym głosem ogłosił:

- Tak kończą dziwadła zaśmiecające nasze miasto! – wyciągnął pistolet i z odległości kilkunastu centymetrów wycelował w tył jego głowy. Bez namysłu pociągnął za spust, rozległ się huk, a Tobiasz opadł bezwładnie na ziemię.

Aurora straciła kontrolę. Cała jej moc uaktywniła się jako czysta energia w jej żyłach. Umysł wygasł, jakby przestrzelony kulą. Jej serce wybuchło z siłą bomby nuklearnej, uaktywniając apogeum jej czarodziejskiej mocy. Uniosła się w powietrze na kilka metrów. Jeden z policjantów oddał kilka strzałów w jej stronę, lecz nie robiła sobie z tego większego problemu. Delikatnym ruchem dłoni uniosła go w powietrze i rozdarła na strzępy, wydostając całą wodę z jego organizmu. Uniosła ręce ku niebu, które w jednym momencie pokryło się czernią. Zaciśnęła dłonie w pięści, a z chmur spadła ściana deszczu. Woda lała się z nieba, jakby ocean w jednym momencie znalazł się w powietrzu. Wszystkie rzeki znajdujące się w ogrodzonym wysokimi murami Opolu, wybiły, zwiększając swoją objętość i zalewając miasto z prędkością kataklizmu. Ludzie przewracali się od ciężaru spadających kropel, a ulice w jednym momencie napełniły się wodą. Wysoki mur zbudowany przez ludzi w celu zapobiegnięcia ucieczkom czarodziejów, był w tym momencie dla nich największym przekleństwem, bowiem całe miasto napełniało się wodą jak wanna, zatapiając wszystkich żywych na swojej drodze.

Gdy dziewczyna rodziła się dwie dekady temu, jako przestroga dla ludzi pojawiła się powódź, wywołująca ogromne straty. Miłość matki podczas jej narodzin, była równie wielka co

ta, którą czuła do chłopca o oczach koloru ziemi. Wyzwoliła rasę czarodziejów zabijając wszystkich, prócz samych czarodziejów, o których każdy głupi wie, że nie dają się utopić.